

BOGDAN PYRZ

ur. 1932; Piaski



Miejsce i czas wydarzeń	Piaski, dwudziestolecie międzywojenne, PRL
Słowa kluczowe	Pyrz, Wiktoria ; Pyrz, Józef ; Pyrz, Antoni ; Piaski ; Lublin ; dzieciństwo ; Holocaust ; dwudziestolecie międzywojenne ; II wojna światowa ; początek II wojny światowej ; okupacja niemiecka ; agresja radziecka 17 września 1939 ; PRL ; życie codzienne ; mieszkańcy Piask ; rodzina i dom rodzinny ; historia rodzinna ; stosunki polsko-żydowskie ; szkolnictwo ; edukacja ; edukacja w czasie okupacji ; szkoła powszechna w Piaskach ; projekt Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie ; tajne nauczanie ; tajne komplety ; żandarmeria niemiecka ; żołnierze radzieccy ; żołnierze niemieccy ; ulica Lubelska w Piaskach ; poczta w Piaskach ; praca listonosza ; łapanki ; aresztowanie ojca ; wspomnienia o ojcu ; więzienie na Zamku Lubelskim ; więzienie Pod Zegarem ; praca więźniów ; kino w Piaskach ; Dybuk (film) ; Żydzi ; Żydzi w Piaskach ; Związek Strzelecki "Strzelec" ; partyzantka ; Bataliony Chłopskie ; działania dywersyjne ; ZBoWiD ; Związek Bojowników o Wolność i Demokrację ; wyzwolenie Piask w 1944 ; zakończenie II wojny światowej ; listy ; Drylski, Jerzy ; Józefowski, Edmund ; Józefowski, Janusz ; Józefowska, Maria ; Józefowska, Stefania ; Kotlińska, Bogna ; Kotliński, Florentyn ; Kotlińska, Janina ; Kotliński, Marian ; Szeligowski, Tadeusz

1. Dom rodzinny

[Nazywam się] Bogdan Pyrz, urodziłem się dziesiątego września 1932 roku w Piaskach koło Lublina, jako drugie dziecko moich rodziców. Brat, Józef [urodził się] trzynastego miesiąca przede mną. Przed wojną ojciec był listonoszem, mama, natomiast jak to się nazywało, była „przy mężu” Czyli zajmowała się domem. Nawet w szkole, jak pytano, co robi mama, to [się mówiło]: „przy mężu” Żyło nam się nieźle, pomimo tego, że pensja ojca była jedną z najniższych. Podobno podstawowy kolejarz i listonosz najmniej zarabiali, ale żyło nam się nieźle, bo pamiętam, że mieliśmy i owoce, i słodczyce, i dobre jedzenie. Mieszkanie było bardzo złe, ale wszyscy mieli podobnie, czyli nie miał człowiek, czego żałować. Natomiast ubrania też [mieliśmy ładne], bo pamiętam, że mama umiała sama trochę szyć, miała koleżanki, które szyły, ale można było chyba też kupić w sklepach żydowskich ładne [ubrania] dla dzieci, buciki. Tak, że jak z tych zdjęć przedwojennych pamiętam –działo nam się dobrze.

[W 19]38 roku poszedłem do szkoły. Mój brat już był w tym czasie w pierwszej klasie, czyli zdał do drugiej, a ja rozpocząłem w [19]38 roku pierwszą klasę. Nie miałem skończone sześć lat, dziesięć dni mi brakowało do tego, ale po znajomości jakoś to się mi udało. I jakoś sobie musiałem radę dawać, bo nie pamiętam, żeby rodzice mieli ze mną jakieś kłopoty. Pamiętam, że jak te szlaczki robiłem, to i kleksów trochę robiłem, bo przecież przedtem to kałamarze się miało i atrament. A, że te stalówki nie zawsze trzymały ten atrament, to się kleksy robiło. Ale z tych kleksów się potem robiło słoneczko, czy coś takiego i pani zaliczała, że to może być. Wychowanie przez rodziców było w tym czasie bardzo patriotyczne. Tak samo przez nauczycieli. Pamiętam, że rodzice ciągle opowiadali, jak to było pod zaborami, jak to Polska odzyskała niepodległość. Tak, że wszyscy w tym czasie, twierdzę, byli bardzo patriotyczni. I ciągle się o tym patriotyzmie mówiło.

2. Tak zaczęła się wojna

Tak, że jak się potem zaczęło mówić o wojnie, o Hitlerze, to byliśmy przekonani, że jedno mrugnięcie oka i będzie po Hitlerze, a my zawojujemy pół Europy. Tacy byliśmy silni. Trzydziesty dziewiąty rok, wybuchła wojna, myśmy wpadli z bratem [do domu] śpiewając jakieś legionowe piosenki, a mama płakała. Zaświtało nam w głowie, że to już nie jest zabawa. Że to jest trochę niebezpiecznie. Ale jeszcze przede wszystkim było ciepło. Jeszcześmy się kąpali, ojciec zawsze chodził z nami się kąpać, bardzośmy to lubili. Potem ojciec wyjechał, bo trzeba było ewakuować Poczta w stronę Zaleszczyk. Ale do Zaleszczyk nie dojechał, bo stamtąd wyszły inne siły. I wrócił. Trudno mi powiedzieć, ile to czasu to zajęło, w każdym bądź razie jak weszli Niemcy do Piask, to ojca nie było, dopiero później wrócił. Więc jak weszli Niemcy do Piask, to my byliśmy sami tylko z mamą i o dziwo, pierwsza ofiara Niemców w Piaskach to była nasz sąsiad. To była ciekawa sprawa. On był zapalonym wędkarzem, mieszkali w tym samym podwórku, to była druga kamienica od naszego domku i tam oni mieszkali na takim piętterku jak gdyby. A z uwagi na to, że już był troszkę taki bałagan i bezhołowie, a on był wędkarzem, to chodził do stawów rybnych, które były w granicach trzystu, czterystu metrów od naszego mieszkania i podbierał ryby. Zresztą całe Piaski są prawie otoczone stawami, a to były stawy [należące do] Kębłowa, pobliskiego dworu. Ale jak wybuchła wojna właściciel uciekł, to te stawy były takie troszkę bezpieczeństwa i [ten sąsiad] podkradał po prostu karpie. Jak wkraczali Niemcy, to zrobiła się taka cisza, jak przed burzą, bo najpierw był ruch –ktoś gdzieś jechał, ktoś coś robił, a tu w pewnym momencie, ni stąd ni zowąd, zrobiła się cisza. Nie było ruchu na jezdni, a przecież to jest główna droga na Zamość, na Chełm i on to chyba musiał też zauważyć łapiąc te ryby. Tam wtedy nie było takiej zabudowy, więc jak spojrział, to widział daleko ten odcinek drogi do Lublina. I zauważył podejrzaną kolumnę [wojska]. Polaków już nie było, bo wojska polskie dawno wycofały się. Prawdopodobnie wyczuł, że to jest coś niepokojącego, złapał wędkę, a wędki były wtedy bambusowe i wracał do domu. A musiał przebiec

przez główną ulicę, bo był po drugiej stronie. Zawsze u Niemców pierwsi jechali motocykliści z tym karabinem maszynowym na przyczepie i oni musieli go zauważyć, jak przebiegał, bo byli może w granicach może dwustu metrów. On przebiegł drogę i wpadł w uliczkę, bo nasz dom był kilkanaście metrów od ulicy, w głębi. Natomiast my, to znaczy ja z bratem i z mama i rodzina tego człowieka, tego naszego sąsiada byliśmy w naszym mieszkaniu. Też się prawdopodobnie bali i przyszli do nas z całą rodziną, to znaczy czwórka ich dzieci i mama. Nie wiem, czy ktoś krzyknął, że to Niemcy, czy co, w każdym bądź razie zablokowaliśmy drzwi i zasłonili nawet okiennice.

Kiedyś w domach parterowych było tak, że drzwi wychodziły bezpośrednio na dwór, a na noc, czy jak się wyjeżdżało, to były drewniane takie okiennice, które zamykało się na haki od wewnątrz i tak się blokowało, żeby ktoś na przykład nie wybił szyby, bo drzwi były zawsze oszklone. Zamknęliśmy się za tymi hakami i w takim półmroku siedzieliśmy, bo baliśmy się. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzał, ktoś strzelił. Nie wiem, ile myśmy siedzieli tym zamknięciu, ale przynajmniej jeszcze dwie godziny. Ale coś ruszyło tę naszą sąsiadkę, mówi, że musi pójść, sprawdzić, bo męża nie było, był na rybach, musi zobaczyć. I rzeczywiście otworzyła te okiennice i wyszła przez podwórko do tego swojego domu, choć moja mama mówiła: „Nie chódź, nie chódź, po co, przecież to jest niebezpieczne, jak oni strzelają” Weszła na górę po schodach i w pewnym momencie usłyszeliśmy straszny krzyk, straszny pisk. Co się okazało –ten jej mąż nie żyje. Jaki to był traf. On wszedł na górę i chował wędkę, bo tam, gdzie oni mieszkali po bokach mieli takie różne zakamarki, gdzieś jakieś schowki, jak to na poddaszu i on tam kładł te wędkę. Niemiec bał się wejść do środka, stanął w drzwiach [red. pierwszy], a ten [sąsiad] jak w sam raz był nad nim. Strop był drewniany, więc ten Niemiec widział, jak się deski ruszały. I strzelił tak na ten ruch desek. Nie wiem nawet, czy wiedział, że on zastrzelił człowieka. W każdym bądź razie to był pierwszy trup w Piaskach i to jak w sam raz to był nasz sąsiad. Kula jak mu weszła w krocze, to wyszła głową. I tak zaczęła się wojna.

3. Przedwojenne nastroje

W naszym pobliżu było przynajmniej jedno radio. W całych Piaskach było ich wtedy tylko kilka. Ci sąsiedzi wystawiali radio w oknie i cała gromada sąsiadów wysłuchiwała komunikatów. Myśmy wszyscy wiedzieli o tym, co się zbliża, tylko wszyscy byli tak napompowani jakimś takim męstwem, że to nas potem właśnie, dlatego tak załamało. Myśmy o Rydzu śpiewali piosenki. Był taki dowcip, który myśmy sobie w szkole powtarzali, że spotkał się Hitler z Rydzem-Śmigłym i Hitler wyrzucił z woreczka mak na stolik i mówi: „Patrz, to są moi żołnierze, tyle ich jest” A Rydz-Śmigły wtedy zgarnął ten mak i zjadł. Wyrzucił swoje kilka garść pieprzu i mówi: „A to jest moja armia.” A Hitler zjeść nie mógł tego, bo to był pieprz. Wśród dzieci nawet było takie nastroje, że jesteśmy tak silni, tak zvarci. I wszyscy mówili o wojnie. Tym bardziej, że zaczęła się mobilizacja. Ojciec wyjechał na Zaleszczyki.

Sąsiad nie chciał iść do wojska, to wszyscy się oburzyli, bo się gdzieś tam w stercie słomy schował. Wszyscy, całe Piaski były oburzone, choć może i mądrze zrobił, bo jakby nie zginął, to by się do niewoli dostał. I trzeba powiedzieć, że potem tak nas to wszystko zaskoczyło, jak weszli Niemcy i okazało się, że tej naszej armii nie ma. A gdzie ona jest? Gdzieś oni jechali, gdzieś szli, ale w końcu to Niemcy robili, co chcieli, jeździli gdzie chcieli, zdobywali Polskę. Ja wiedziałem o takich wypadkach, to było jeszcze zanim oni weszli, że Niemiec polował z samolotu myśliwskiego na pojedynczego człowieka. Po łące go gonił i gdyby tamten nie schował się w stóg siana, to by go zastrzelił. Do tego stopnia sobie pozwalali. W każdym bądź razie myśmy bardzo byli zaskoczeni, dlaczego nie ma oporu z naszej strony. Potem dopiero przekonaliśmy się, że nie byliśmy zupełnie przygotowani do tego.

Ta wojna to nie była dla nas. Nasza armia była całkowicie niedostosowana do tego, tym wszyscy zostali zaskoczeni. Ale o dziwo, pierwszymi witającymi Niemców w Piaskach byli Żydzi. Tak było. Oni wyszli do Niemców z takimi nosidełkami, mieli papierosy, czy czekoladki różne, bo Żydzi byli handlarzami. I widziałem na własne oczy, jechał taki szwab, na koniu i ten Żyd chciał Niemcowi coś sprzedać –oni się bardzo dobrze dogadywali z Niemcami, bo ten ich jidyś jest bardzo zbliżony do niemieckiego języka, więc oni bardzo szybko nawiązywali kontakt. I pamiętam, jak ten Niemiec zdjął ze strzemienia nogę i kopnął w te czekoladki. Razem z tymi papierosami mu wyleciały. Taki obrazek pamiętam. To nas trochę oburzało, bo kiedy myśmy brzydzili się Niemcami tak, jak karaluchem i myśmy przez długi czas nie chcieli Niemca zobaczyć, odwracaliśmy głowę, żeby nie zobaczyć Niemca, pomimo tego, że ulicą już ci Niemcy szli. A oni ich witali. To nas trochę przeraziło, że coś tu nie tak jest. Tym bardziej, że u nas były nastroje antyżydowskie przed wojną. Oczywiście, że były! Nie kupuj u Żyda, nie sprzedawaj Żydowi i tak dalej. Ale myśmy chyba za mało wiedzieli, co Niemcy robili z Żydami u siebie. Myśmy chyba wtedy za mało wiedzieli. Wiedzieliśmy, że Niemcy nie lubią Żydów, dlatego nas to, przynajmniej mnie bardzo dziwiło, że Żydzi poszli w ten sposób witać Niemców, kiedy myśmy unikali spotkania z Niemcami. Tak, przynajmniej z tego, co pamiętam, wyglądały te nastroje przedwojenne.

4. Pierwsze tygodnie wojny

Potem był pewien ruch Niemców. Myśmy nie mieli pojęcia, co się dzieje. Ni z tego, ni z owego jakieś dziwne wojsko przyjechało. To znaczy, czołgi –stare francuskie czołgi, które rzeczywiście dziwacznie wyglądały w stosunku do rosyjskich czołgów, które były potem w czterdziestym czwartym roku. Takie pokraczne, jak czasem na tych [starych] zdjęciach pokazują, nie wiem, czy to nie francuskie Renault. W każdym widok tego wojska był dziwny. Oni nie mieli mundurów, najczęściej skórzane kurtki i portki takie, jak bóg dał, kto jakie tam miał. Karabiny dosłownie mieli na sznurkach. Ona tak wyglądała, ta armia. Myli się w kałużach, ale to wtedy nie było dziwne, bo nie było wodociągów, to wszędzie gdzieś się można umyć. Zresztą, mówmy sobie

szczerze –myśmy też bardzo często z tego korzystali, jako dzieci, bo się latało boso, tośmy też czasem szli nogi wymyć, żeby do domu przyjść czystym. A przedtem padał deszcz, były kałuże i w tych kałużach się myli. Były najrozmaitsze rzeczy, [które] ja tylko z opowiadam znam, a nie widziałem tego na własne oczy, że oni jedli pastę do zębów, bo była słodka i miętowa, bo ktoś im powiedział, że to jest krem, czy coś do jedzenia. Słyszałem od kolegi, który się zaklinał, że na przykład gdzieś tam zdobyli przedwojenną latarkę na dynamo. I świecił, świecił aż mu zgasło, bo się wyczerpało, więc kazali mu ją w wodzie moczyć i on moczył w wodzie. Takie były opowiadania kolegów o tej armii. W tym czasie nasi żołnierze, którzy nie byli w stopniach oficerskich, wracali do rodzin, najczęściej przebrani już w cywilne ubrania. Oficerowie, natomiast, byli już bez pasów, ale w pełnym umundurowaniu, bo uważali, że konwencja ich broni i oni mogą być tylko jeńcami wojennymi z pełnymi prawami. U nas w domu w tym czasie nocowało dwóch młodych oficerów, podporuczników. Prawdopodobnie studentów, którzy mieli podchorążaka [Szkolę Podchorążych] i w czasie wojny dali im [stopnie] podporuczników.

Kilka dni u nas byli, myśmy z nimi dyskutowali i nie wiem, jak, ale to pocztą pantoflową doszło, że podobno Rosjanie gdzieś zbierają polskich oficerów. Uszeregowują ich i gdzieś prowadzą. Jeden z nich mówi, że pójdzie zobaczyć, co się tam dzieje. Mama mówiła: „Panowie, nie idźcie, toż to jest jednak wróg. Dzieci wyślę, dowiedzą się” Ale on powiedział, że przecież ich broni konwencja. I poszedł. Za chwilę wraca, a z nim Ruski już z karabinem maszynowym. Rosjanin został tak jakieś piętnaście metrów od domu, za furtką sobie stał i czekał. A ten oficer wszedł do domu i pyta tego drugiego: „Co robimy? On zbiera wszystkich i mówi, że nas ochronią” Mama mówi: „Panowie, niewola to jest niewola. Obojętnie gdzie to jest niewola. Mamy okno na ogród w druga stronę, wyskoczcie i uciekajcie, a my potem przebierzemy was i wrócicie do domów.” Tak się naradzali, naradzali i w końcu wyszli do tego Rosjanina. Pożegnaliśmy się i oni prawdopodobnie w Katyniu potem zginęli. Tak, jak zginął zresztą brat mojej mamy. Tak to mniej więcej wyglądało. Byli też uciekinierzy z zachodu, niektórzy z nich przyjechali samochodami i u nas była właśnie rodzina, która takim przedwojennym oplem jeszcze dojechała, mieli jeszcze benzynę. Wtedy problemem był brak benzyny, samochody leżały w rowach, bo niepotrzebny sprzęt spychało się do rowów, żeby nie przeszkadzał. Stacje benzynowe wtedy już w ogóle nie działały. A on miał jeszcze trochę benzyny, tak, że na powrót w swoje strony by mu wystarczyło. W sąsiednim domu była podobna rodzina, prawdopodobnie też z tych uciekinierów. Oni na pewno nie mieli benzyny, ale był tam jakiś taki cwaniak. Założył sobie czerwoną opaskę, złapał jakiegoś Ruskiego, dał mu pół litra i powiedział, że tam jest paniczyk, który ma benzynę i trzeba mu ją zarekwirować, bo on tu biedny nie ma benzyny. I przychodzą z tym Ruskim na nasze podwórko do tego samochodu, żeby brać z baku benzynę. Zrobił się zaraz tłumek. Ta rodzina, co u nas mieszkała, krzyczy, –jakim prawem i tak dalej. Ruski bronią grozi, bo za tamtym jest: „Dawaj, dawaj!” I prawdopodobnie by zabrali,

ale w tym czasie była u nas moja ciocia. Jej mąż, przed wojną nauczyciel, zginął w Katyniu, bo był z żołnierzami do końca i nie chciał rozwiązać plutonu. Jego kolega rozwiązał pluton i kazał [żołnierzom] wracać do domu. A on mówi: „Ja nie opuszczę swoich żołnierzy.” I został z nimi.

Dowiedzieliśmy się z listy katyńskiej, że zginął. On był kierownikiem szkoły, ona nauczycielką w Łysołajach. Łysołaje to taka wioseczka na drodze do Milejowa. Ona przebywała w tym czasie u nas, czytała książkę w kuchni i usłyszała tę awanturę. Była zaczytana, ale usłyszała tę awanturę. Myśmy wszyscy wybiegli, a ona wyszła na próg domu. Ruski był jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów [od domu], a [red. ciocia] pięknym rosyjskim językiem zaczęła do niego coś mówić. Oczywiście myśmy wtedy nie mieli pojęcia o rosyjskim języku. Dla nas to był tak samo, jak niemiecki, tak samo rosyjski tam jedno, czy co któreś słowo [rozumieliśmy], Ale ona wtedy tę mowę wygłosiła może pięciominutową. Mówiła spokojnie, ładnym głosem, ten Ruski stanął jak wmurowany i słuchał, słuchał. W pewnym momencie mówi, że on takiej mowy rosyjskiej to tylko w radio słuchał i raz w teatrze. A co ona mu powiedziała, to myśmy nie bardzo wiedzieli. Ale jak on tak stał, a potem zaczął się ciotce kłaniać, to ten go [red. opaska] zaczął w pewnym momencie szarpać, żeby załatwić tę benzynę, bo przecież pół litra dostał. A on mówi: „Ubiraj, ty sukinsynu” I tak ciotka uratowała tego naszego lokatora i uratowała mu tę benzynę. Takie to były obrazki w tym czasie. Żydzi podobno rozbrajali naszych oficerów, jak Rosjanie weszli. Zbudowali im bramę powitalną w Piaskach. To byli młodzi Żydzi, młodzi. I wiem, że powstały takie bojówki z obywateli piaseckich. Ojciec, jako listonosz znał wszystkich Żydów po imieniu, po nazwisku i chyba z nimi dobrze żył. Zresztą z niektórymi żył bardzo dobrze. I ojciec znał te dzieci, tych młodych. I jak ojciec mówił: „Ty, bo ja ojcu takiemu to a takiemu powiem, jak ty się zachowujesz” to on od razu wiedział, że go rozpoznali, od razu siadał i mówił: „Panie Pyrz ja już nie [będę]” Ojciec ich po nazwisku wywoływał i oni wtedy rzeczywiście wstydzili się i odchodzili. Takie wypadki były. To jest historia, my tego nie zmienimy. Ja to widziałem, to się działo, tak było.

5. Żandarmeria i granatowa policja

Był tu oddział żandarmerii miejscowej. Łobuz w łobuza. Mieścił się tam, gdzie jest obecnie posterunek. Przed wojną był tam posterunek policji i za Niemców była tam policja i po wojnie była tam policja, czyli milicja. Niemcy także okresowo zajmowali szkołę. To była szkoła nowa, budowana też chyba w trzydziestym szóstym, czy piątym roku, jeszcze niewykończona dobrze. Trochę uczyliśmy się w tej szkole, potem znowuż musieliśmy [red. ją opuszczać], bo oni nam ciągle ją zajmowali. Jakieś warsztaty naprawcze tam [red. zakładali]. Potem jeszcze inne budynki zajmowali. Niedaleko nas był stary syndykat to tam jakiś oddział lotniczy był, dorobili wieżyczkę na dachu i ostrzegali przed nalotami rosyjskimi, jak Rosjanie już podchodzili [red. do naszych granic]. Zajmowali sobie [kwatery] po domach prywatnych, w którymś tam budynku był Arbeitsamt, czyli to biuro, gdzie na roboty do Niemiec brali, te skupiska

urzędników to były właśnie tam.

Ale najgorsi to byli ci żandarmi miejscowi, to był łobuz z łobuza. Pamiętam ich nazwiska. Granatowa policja była poza tym. Granatowa policja, to była polska granatowa policja. Żandarmi to była policja niemiecka, Schutzpolizei zdaje się to się nazywało u nich. Komendantem był Kresse, to był starszy gość. Wydawało mi się, że był porządny człowiek. Do pewnego czasu. Aż zobaczyłem, jak bije Polaka. Złapał pistolet za lufę i grzmocił go tą kolbą po głowie, aż mu krew sikała. I wtedy już uwierzyłem, że nie ma dobrych Niemców. Potem był Szolc, czy Szulc to był prawdopodobnie Ślązak. Mówił dobrze po polsku. Łobuz. Potem Zawada, Abel, Szulczyk. To byli, mało powiedzieć, zbrodniarze, to byli zwyrodnialcy. To byli zwyrodnialcy. Niektóre rzeczy to się nie dają wręcz powiedzieć.

6. Tajne nauczanie w Piaskach

Przed wojną była moją ostatnią wychowawczynią ostatnią pani Szeliska. Wydawało mi się, że ona ma coś z Niemcami do czynienia. Ja ją bardzo lubiłem i wiem, że jak zaczęła się okupacja, ja do niej chodziłem indywidualnie na lekcje. Polski, rachunki, ale pierwsza i druga klasa, to tylko szlaczki się rysowało. Po sąsiedzku był jakiś oficer niemiecki, a ona dobrze mówiła po niemiecku. I kiedyś podczas tej lekcji on przyszedł i ona mnie kazała jak gdyby uczyć się z nim niemieckiego. Mnie to tak wzięło, że powiedziałem mamie, że ja już więcej do niej nie pójdę. I nie poszedłem. To były pierwsze tygodnie, jak, jak Niemcy weszli. Była też rodzina Kotlińskich, przede wszystkim to był Florentyn Kotliński. Jest już duża literatura na ten temat, już trochę pisali o nim. To on przed wojną był kierownikiem szkoły, a Janina, jego żona była nauczycielką. Jego potem aresztowali i zginął w Oświęcimiu. Natomiast ona ponosiła te wszystkie obowiązki tajnego nauczania i to u niej w domu schodziliśmy się. To były takie okresy: jak ta szkoła nie była zajęta przez Niemców, tośmy czasem chodzili do szkoły i to wtedy wyglądało tak normalnie, były klasy i tak dalej. Potem nas wyrzucali, to [uczyliśmy się] w kilku miejscach w Piaskach w prywatnych domach, ale to też na zasadzie takiej, jak gdyby szkoły. Też były klasy.

A potem już na tych tajnych kompletach, to były już takie jakby łączone, że to nie były jeden rocznik. I potem Bogna Kotlińska, czyli córka Janiny i Florentyna, ona przed wojną chyba nie skończyła [studiów], ale już była na uniwersytecie, też prowadziła te tajne komplety i rzeczywiście tam były różne roczniki. [red. Równolegle chodziłem na tajne nauczanie, które mi zaproponowano]. To nawet chyba wyszło od kolegi, który był ministrantem i chyba od księdza [dowiedział się o tym]. W każdym razie przyszedł do mnie i powiedział, że pani Ramułtówna to była baronówna pochodząca z Kisielnickich, wnuczka Kisielnickich, którzy mieli dwór w Woli Piaseckiej, chce skompletować pewną grupę chłopców, że będzie ich uczy uczyła, ja twierdzę –polskości. [Kisielnicy] byli wyrzuceni ze swojego dworu, tak jak wielu właścicieli ziemskich, i mieszkali w Piaskach w prywatnym mieszkaniu. Córka Kisielnickiej wyszła za Ramulta, on był baronem a z kolei Ramultowie mieli dwie córki. One były

chyba [red. przed wojną] na uniwersytecie i chyba nie skończyły [studiów], bo miały może dwadzieścia kilka lat, to były młode dziewczyny. [Uczyła nas] najpierw jedna potem, kiedy miała operację, to siostra nas przejęła. Pięciu łobuziaków. Łobuziaków, bo to była okupacja, a myśmy, że tak powiem, nie zawsze byli tacy grzeczni i przyjemni. I w swoim domu uczyła nas polskości, właśnie polskości. Patriotyzmu.

Pamiętam, że pożyczała nam przede wszystkim [książki]. „Krzyżaków” pierwszy raz czytałem, nosiłem poszczególne tomiki, bo to chyba było w takich małych tomikach, pod czapką, żeby mnie Niemcy nie złapali, jak wracałem od nich. Tym bardziej, gdyby oni chcieli mnie bić, a jak bym się przyznał, to by były kłopoty. To była konspiracja i ja też musiałem trochę udawać. Trudno powiedzieć, żeby to była jakaś taka regularna nauka czegoś. To była nauka o patriotyzmie. Może o wychowaniu? Kto wie, bo myśmy potrafili w międzyczasie na krach jeszcze na rzece pojeździć, pomoczyć się, w śniegu się wytarzać. A oni nas jeszcze suszyli i gorącą herbatą z sokiem nas jeszcze pani Kisielnicka poczęstowała, żebyśmy się [nie rozchorowali]. Więc, jak ja sobie to przypominam teraz, to byli ludzie, którzy z takiego obywatelskiego patriotyzmu tymi rzeczami się trudnili, pomimo tego, że było to przecież karalne, bo gdyby Niemcy o tym wiedzieli, to mieliby kłopoty.

Tylko u tych pań Ramułtównych nie mieliśmy matematyki. Natomiast, jeżeli chodziło [o naukę] u pani Kotlińskiej, to to tam normalnie była i przyroda i matematyka. Fizyki to wtedy jeszcze nie było, to się nazywało przyroda martwa i żywa. Martwa odpowiadała bardziej fizyce, a z kolei przyroda żywa biologii, Ale tak było, martwa i żywa nie wiem, dlaczego tak się to nazywało. Egzaminów nie było, tylko ocenia nauczyciela. Pierwsze egzaminy zdawaliśmy dopiero jak żeśmy do Staszica startowali. Zresztą przed wojną nie było egzaminów w szkole podstawowej, tylko ocena. I u Kotlińskich była tylko ocena. To była ich kamienica. Na pierwszym piętrze zajęła lokal grupa ośmiu, czy dziesięciu Niemców. Nie wiem nawet, jaka to była formacja, ale w każdym razie oni byli przejściowo i jakiś czas tam mieszkali, jakieś tam zadania może mieli, czy może wypoczywali, trudno powiedzieć. I z tego pierwszego piętra był niewykończony taras, [który] był jednocześnie dachem dla krużganka parteru, ale nie miał obmurowania. I nie wiem, czy oni popili, czy coś, w każdym razie jeden szwab spadł z tego. To nie było wysoko, a on był wysportowany i zdrowy. Spadł na dwie nogi i zniecka przyszedł do nas. Pamiętam, że był tylko w szelkach i w koszuli, trochę chyba podpity, a myśmy nie zdążyli schować książek. I pamiętam, jak dziś, jak on czytał: „Było siedem koleczków w plocie” Tak czytał, bo oni przecież nie oni „I” naszego to nie wypowiadają. Myśmy wszyscy zdębieli, ale on był chyba na tyle pijany, a jeszcze po tym upadku, że nie bardzo wiedział, o co chodzi. Przeprosił i poszedł. Ale myśmy byli zawsze przygotowani, że jak oni by normalnie weszli drzwiami, to do tej sali jeszcze trzeba było przejść przez kuchnię, więc my byśmy zdążyli jeszcze schować te swoje zeszytiki, książki i zacząć, założymy, jakąś tam grę. Było nas może dwanaścioro. Ale były też różne grupy. Tylko nie bardzo już pamiętam, czy byliśmy [podzieleni] rocznikami. Ale chyba nie, bo

pomimo tego, że brat był starszy ode mnie o rok, to chodziliśmy razem. Więc wynika z tego, że były te grupy trochę pomieszane.

Zresztą [pani Kotlińska] i tak podchodziła do każdego prawie indywidualnie, to był całkiem inny sposób nauczania. Ale były też i starsze roczniki, bo wiem, że starsi chłopcy potem od razu na studia szli. Trafiałem na takie roczniki, w szkole średniej i na studiach, że byli żonaci, dzieciaci [koledzy], niektórzy pięć lat spóźnieni. Bo też i przed wojną nie była taka dostępność do nauki.

7. Aresztowania i represje

Aresztowania były potworne. Były w Piaskach trzy potężne łapanki. Wybrali całą inteligencję. Męża mojej ciotki, tej, która swoją mową tak oczarowała tego Rosjanina w trzydziestym dziewiątym roku, ściągnęli, bo też skończył to studium nauczycielskie i był podchorążym. Dostał stopień podporucznika, dostał pluton i poszedł na wojnę. Mieszkali w Łysołajach, a on przechodził ze swoim plutonem w tych okolicach goniąc tam za Bug. Wyprosił u swojego dowódcy zwolnienie na kilka godzin, żeby wstąpił do żony. A ona była wtedy u nas w Piaskach i się nie spotkali. Zostawił list, testament jak gdyby dla [żony], żeby wychowała synów na dobrych obywateli Polski, Rzeczypospolitej Polskiej. Żeby byli uczciwi, sumienni. W tym liście pisał, że nie wie, czy wróci. Zostawił go u sąsiadów w Łysołajach, tam gdzie oni mieszkali, jako kierownik szkoły i nauczycielka. Jego kolega, Jerzy Drylski, też nauczyciel tylko, że w Piaskach, wrócił. Byli w tej samej kompani, ten miał jeden pluton, tamten miał drugi pluton, byli nauczycielami i kolegami jeszcze ze studiów. Mówił do mojego wujka: „Wrócmy, będziemy w kraju potrzebni teraz.” Ten Drylski przed wojną był komendantem „Strzelca” „Strzelec” to była organizacja taka wojskowa. I jak wrócił do Piask już w czasie okupacji, to stworzył momentalnie organizację, która potem przeszła do AK, ale to grubo, grubo później, a to już było w pierwszych dniach okupacji. To była jedna z pierwszych w ogóle organizacji przeciwko Niemcom, ale nie tylko. Oni wydawali systematycznie tak zwaną bibułę. To było na przebitkach, takich cieniutkich, bo wtedy taka technika była. Strasznie ciężko to było czytać, ale czytaliśmy. I tam był właśnie orzeł, który z jednej strony rozbija swastykę, ale z drugiej sierp i młot.

To był trzydziesty dziewiąty rok jeszcze, końcówka trzydziestego dziewiątego roku, a oni myśleli już o tych dwóch wrogach. I wtedy dopiero zaczęły się aresztowania. Do tej organizacji należał także mój ojciec, odpowiadał w tym całym sztabie za zwiad. A dlaczego za zwiad? Był listonoszem, wchodził na posterunek policji, znał żandarmów, bo do nich też przychodziły listy, mógł tam zajrzeć. I skorzystał z tego. Bo na przykład oni chcieli odbić jakiegoś aresztowanego, ale nie wiedzieli, czy już go nie wywieźli do Lublina. Ojciec mógł to sprawdzić, bo idąc tam, czy oddając list mógł się trochę porozglądać, wchodził tam, gdzie inni nie mogli wejść. Bo przesyłki przychodziły do wszystkich. I dlatego ojciec miał powierzony zwiad. Zaczęły się aresztowania, przede wszystkim młodych ludzi. Ale nie wyłapali organizacji bojowej w pierwszej łapance,

poszli nie po linii organizacji, bo się o niej nie dowiedzieli, tylko poszli po linii „Strzelca” I z tego, co ja się domyślam to oni zdobyli listy „Strzelca” przedwojennego. Przede wszystkim szukali Drylskiego i wzięli wszystkich chłopaków, którzy należeli do „Strzelca” nie ruszając mojego ojca. Bo gdyby poszli po stronie tej nowej organizacji, którą stworzył Drylski, to by wyłapali tamtych, między innymi mojego ojca, Drylskiego, ale i wielu innych. W pierwszej łapance wyłapali między innymi mojego wujka, z którym ja byłem na ty, bo on był tylko kilka lat [starszy], Tadeusza. On był z tego „Strzelca” Miał tylko jedno oko, a świetnie strzelał. Miał pierwsze miejsce w „Strzelcu” w strzelaniu. Był wysportowany, przed wojną dostał srebrny zegarek za biegi, bo przed wojną dbano też o fizyczną kondycję młodzieży. Był strasznie silny. I zginął w Oświęcimiu. Jeden z Piask człowiek wrócił z Oświęcimia i opowiadał, że jego Niemcy zatłukli pałami, bo niósł trzy kartofle za pazuchą. Przez jakiś czas brali ich na roboty i on te trzy kartofle sobie tam gdzieś z pola niósł. Przy rewizji go złapali, jak wracał do obozu i przed bramą zatłukli pałami. W taki sposób zginął. Potem z kolei wybrali nauczycieli. Nie tylko Florentyn [Kotliński] zginął, ale pan Łaniak, Skorek i wielu innych. Zabrali Pawłowskiego, który był magistrem farmacji i przed wojną prowadził aptekę. Wybrali prawie całą inteligencję piasecka w dwóch, czy w trzech łapankach. To było, ja wiem, sześćdziesięciu ludzi, przede wszystkim młodych chłopaków.

Tak, że potem żaden młody mężczyzna już nie mógł być normalnie w domu tylko był albo w lesie, albo wywieziony do Niemiec na roboty, albo zginął gdzieś tam w obozie. Tego, co złapali na jakiejś robocie politycznej, s zbrojnej, to wykańczali bardzo szybko. Do Niemiec na roboty to nie brali z łapanki, tylko to były takie jak gdyby nakazy. Wysyłali ich, ale mogli na przykład pisać korespondencję. Natomiast tamtych łapali znienacka. Najczęściej otaczali Piaski kordonem, że nikt nie mógł z Piask wyjść. I wtedy szli już z tą listą, a czasem i tak przypadkowo złapali takich młodych ludzi, bo ktoś nie miał ausweisu, że pracuje na niemieckiej posiadzie. Rodzice czasem nie wiedzieli, gdzie on jest, aż napisał, że już gdzieś tam pod Berlinem orze. Tak było, tak. Ale [zazwyczaj] jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Ten, to chociaż jakieś prawa miał, a tamten polityczny to nie miał żadnych praw. I najczęściej oni już nie wracali. Bo z tej jednej łapanki, czy dwóch, z tych kilkudziesięciu ludzi to tylko jeden wrócił. Był fryzjerem i prawdopodobnie tam Niemców strzygł, to go do wyzwolenia jeszcze przytrzymali. udało mu się wrócić po wyzwoleniu. A tak wszyscy zginęli. To było coś strasznego. Tak to mniej więcej wyglądało.

8. Wspomnienie kina w Piaskach

W naszym podwórku mieszkał sąsiad, który przed wojną miał własne kino. To kino, te aparaty przywiózł sobie z Francji, gdzie pracował w kopalniach i trochę się dorobił. W tych aparatach lampą błyskową był łuk spawalniczy w takim pudle z blachy. To była lampa błyskowa. [To widać] jak się patrzy na te stare filmy, gdzie jest taki [dźwięk] bzyt, bzyt i ciemno się robi. Wtedy nie było takich lamp, jak teraz, które dają takie

potężne światło, już nie mówiąc o tych nowoczesnych żarówkach. Trzeba było tak duże światło dać, jakie dawał tylko łuk. W potężnej takiej jak gdyby klatce z grubej blachy, bielonej w środku farbą białą, żeby to było wszystko jasne, przez mały otwór [światło padało] na tę kliszę. I jeszcze od czasu do czasu ta taśma celuloidowa się paliła, bo tam gorąco było. I między innymi był tam operatorem Tadeusz Szpakowski, ten z jednym okiem, świetny chłopak. Trzeba było kręcić takimi dwiema elektrodami, zbliżać, ale nie za blisko, żeby one się, jak to mówią, nie zglejowały, czyli nie zespawały się, bo wtedy obraz nił, trzeba było je rozrywać i znów od początku [ustawiać]. Ta odległość powinna być stała, ale wtedy jak się ręką kręciło, to nie bardzo się to zgrywało, dlatego czasem na tych filmach starych takie błyski były albo zaciemnienia. Więc [ten sąsiad] był właścicielem kina. Ale to był, poza właścicielami młynów, jeden z najpoważniejszych przedsiębiorców w Piaskach. Już nie mówiąc o tym, że przywiózł sobie trochę majątku, zarabiając zresztą podobno w strasznych warunkach w kopalniach. Nie wiem nawet, czy nie w kopalniach uranu, bo oni bardzo szybko poumierali, nawet nie wiedzieli, co kopią, takie były czasy. On miał córkę i syna, starszych od nas przynajmniej o pięć lat, może sześć. I mógł wysłać do Lublina do gimnazjum tylko syna, a już córkę nie, nie było go na to stać.

Moja matka po nocach płakała, że jak my skończymy szkołę podstawową, to już nie będziemy mogli się uczyć, bo jej nie stać na to, skoro [sąsiad] córki nie mógł wykształcić, a miał kupę pieniędzy! Byłem na wszystkich filmach [w kinie] z uwagi na to, że kiedy oni przyjechali, to ojciec, jako sąsiad bardzo mu dużo pomagał w organizacji tego wszystkiego. Bardzo dobrze żyli ze sobą. Zresztą on potem był magazynierem broni w tej organizacji razem z ojcem. A ja na wszystkich filmach byłem, bo on nam dawał bilety w pierwszym rzędzie. Jak grali film „Dybuk” ja myślałem, że mi się to śni. Żydzi szli masowo na „Dybuka” podobno, mieli nakaz od rabinów, żeby być na tym filmie. To jest żydowski twór o duchach, nie wiem, czy to nawet może Żyd jakiś nakręcił, ale przypominam sobie takie potężne masy Żydów, którzy szli do tego [kina]. Na inne filmy też przychodzili, bo to była jedyna rozrywka przed wojną. Zresztą nie wszędzie przecież było kino w takich miasteczkach. Tutaj szli masowo, więc ten człowiek musiał kupę [pieniędzy] zarabiać na owe czasy, a jednak nie stać go było na utrzymanie [dwójki dzieci] w szkole średniej. Trzeba było mieć garniturki –i to garnitur zimowy, garnitur [letni]. Liceum nosiło czerwone lamóweczki, gimnazjum niebieskie, trzeba było zapłacić za stancje. Trzeba było płacić także chesne za szkołę, ale nie pamiętam opłat, jakie były wysokie. W każdym razie moja mama rozpaczała, że nas nie będzie stać. A potem, jak kończyliśmy szkołę średnią i gimnazjum, to mama mówiła, że już możemy być urzędnikami w gminie. A na poczcie to już nie listonoszem, jak ojciec, tylko mogliśmy być naczelnikami. To już było dużo.

[Kino] było w świetlicy „Strzelca” Mieściło się tam może pięćdziesiąt do stu osób najwyżej, ale przed wojną to było dużo. Kiedyś przed wojną to był tak zwany syndykat. Czyli tam skupowali zboże, a jednocześnie od frontu po jednej stronie była

tam restauracja, taka dość duża. Potem za Niemców też była. I właśnie świetlica „Strzelca” to była taka sala społeczna. Tam młodzież, różne zespoły, także taneczne, ćwiczyły. A on potem dobudował tam jeszcze zaplecze na tę kabinę [operatora], przebił dziury w ścianie. A kiedy ten mój wujek był operatorem, ja tam byłem prawie czeladnikiem. Byłem taki, że wszystko musiałem wiedzieć. Zresztą nas to interesowało od najmłodszych lat, tak nas rwało z bratem do tej techniki. Potem, przed okupacją sąsiad z ojcem w dużej tajemnicy zakopali w ogrodzie to całe urządzenie. I już nikt go nie odkopał, bo potem weszło wojsko rosyjskie i oni mieli te kręciołki nawet już z tym agregatem. Ekran ustawiali byle gdzie i z samochodu puszczali [filmy]. Czyli to zakopane kino już było nieaktualne. Ale tak teraz się zastanawiam, że by to można tak dla zabytku odkopać. Tam ogród w dalszym ciągu jest w tym miejscu, tylko nie wiem, czy to się nie zniszczyło, czy oni to zabezpieczyli, to przecież to kupę lat, mogło skorodować całkiem.

9. Konspiracyjna działalność ojca

Ojciec pracował, jako listonosz. W związku z tym był zabezpieczony, bo trzeba powiedzieć, że Niemcy tych ludzi niezbędnych do działania administracji, oszczędzali, nie brali z łapanek, jak ktoś pokazał taki dowód, że pracuje tu i tu. Oczywiście, jak coś zaśmierdziało polityką, to wtedy już nie było świętych, obojętnie, kim on by nie był. I tak to sobie trwało aż do dwunastego lutego [19]42 roku. Dzień, jak co dzień, ale trzeba by sprawdzić, czy wtedy był tłusty czwartek. Dlatego, że mama zrobiła takie biedne pączki. Miały być nasmażone na oleju, tylko na oleju rzepakowym, on był śmierdzący taki, to straszne było. Niby z jednej strony te pączki się jadło, ale przed wojną się tylko na smalcu smażyło, a za okupacji tego nie było. Te pączki nigdy nie zostały upieczone. Bo one rosły, kiedy myśmy się dowiedzieli, że coś się dzieje na poczcie. Ojca, [który] gdzieś po rejonie z torbą chodził, rozdawał listy, ściągnęli z rejonu i pocztę zamknęli. Coś się działo. My niby tam poszliśmy na zwiady, ale nie można było w ogóle nic się dowiedzieć. Dopiero może koło godziny czternastej przyszło trzech Niemców z ojcem i przeprowadzili u nas w domu taką szczegółową rewizję. Splądrowali wszystko, co się dało, zresztą tego nie było dużo, bo to było biednie przed wojną, ale w każdym bądź razie splądrowali wszystko. Kuchnia była praktycznie półciemna, bo w kuchni były tylko oszklone drzwi wejściowe, które były w ogóle wejściem do domu i zawsze w tej kuchni panował półmrok. Stała kuchnia, taka jeszcze z okapem, i szafka. Nie wiem, czy nie przez ojca, [zrobiona], bo ojciec był taki, że lubił dłubać różne rzeczy i sam robić. Ale w każdym razie to była taka szafka, gdzie mama trzymała mąkę, maszynkę i [ponieważ] to był luty, środek zimy, to i kapustę się trzymało, bo nie było lodówek. Była piwnica, ale ziemna, trzeba było chodzić, a w domu to trzymało się w szafce. I ona oślizgła tak zawsze, ale jak się ją potem wyłuskało, to tam w środku gdzieś kawałek tej kapusty jeszcze [był dobry]. Może zresztą [mama] nawet o niej zapomniała, nie wiem, w każdym bądź razie była tam taka główka podgniłej kapusty. I ten szwab tam zaczął

macać, był taki trochę półmrok, otworzył tę szafkę, maca, maca, maca i wsadził łapę w tę kapustę oślizgłą i śmierdzącą. Jak zaczął kłuć! Matka się wystraszyła, a ojciec ani mrugnął.

Kilka dni potem, po tej rewizji przypadkowo my z bratem patrzymy –a tam jest pistolet w szmatce. Naoliwiony, zakonserwowany. Gdyby sięgnął poza tę kapustę i domacał się tego pistoletu byłoby po całej naszej rodzinie. Matka o tym nie wiedziała, a ojciec nie mrugnął okiem, jak ten szwab tam pchał rękę. I całe szczęście myśmy też nie wiedzieli. Prosiliśmy potem mamę, żeby nam ten pistolet zostawiła, ale mama odniosła go do tego sąsiada od kina, bo on był magazynierem [w organizacji]. Okazało się, że wieczorem poprzedniego dnia ojciec dostał [pistolet], bo oni tam okresowo go konserwowali. Zakonserwowany, owinięty w taką szmatkę jeszcze [nasączoną] smarem oddawali magazynierowi. Magazynier trzymał broń. Tak było w partyzantce, że tylko jak szli na akcje, to broń się wtedy wydawało. Magazynier wydawał broń, dla bezpieczeństwa. Więc to nas uratowało z tym pistoletem. To, co wzięli, to tylko ojca ostatnią pensję –144 złote, do dziś pamiętam, i karton papierosów. Ojciec dostawał tak zwane becugszajny to znaczy papierosy na kartki –jak za stanu wojennego, tak i za Niemców były kartki. Miedzy innymi i na alkohol, w zależności od rangi urzędnika. Ojciec te najmniejsze, ale dostawał. I tam były papierosy. Ojciec nie palił, ale miał znajomości z facetem, który prowadził sklep z papierosami dla Niemców i chyba dostawał w mniejszej ilości, ale za to papierosy najlepszych gatunków. Zbierał to ojciec w pudło. Bo jak tego Tadka Szpakowskiego aresztowali, a on palił, to ojciec mówił: „To będzie dla Tadka, jak wróci z obozu” Bo wszyscy wierzyli, że wróci. To były dobre papierosy, te „Mewy”niemieckie [Möve], potem egipskie to były takie przedwojenne dobre gatunki papierosów. I te szwaby nam zabrali to pudło papierosów. To tylko wzięli. Ojciec wrócił na pocztę, potem żeśmy się tylko dowiedzieli, że został w tym samym dniu wywieziony. Jak wynika z dokumentów, –bo ojciec tu potem napisał, gdzie przebywał, że aresztowany został w Lublinie. Tutaj został zatrzymany, a aresztowany dopiero, jak go wywieźli do Lublina. Potem ojciec siedział na Zamku.

10. Aresztowanie rodziny Józefowskich

Wtedy aresztowali też całą rodzinę Józefowskich, czyli Edmunda Józefowskiego, żonę, chyba Marię Józefowską, syna Janusza, córkę Stefę. I był jeszcze ich kuzyn. Imienia nie pamiętam, nie wiem, czy nie Andrzej, ale [nazwisko] to na pewno Henrys. I ten ich kuzyn, Henrys, tak jakby odsiedział wyrok. Córka Stefa wyszła jeszcze przed nim, jako nieletnia, natomiast Edmund został powieszony. I to publicznie. Został powieszony w obecności żony, syna. Gipsem podobno miał zakneblowane usta, prawdopodobnie albo, dlatego, że nie chciał nic powiedzieć na przesłuchaniu, a podobno go bili, albo, dlatego, żeby czegoś nie wykrzyczał przed śmiercią. Podobno wtedy zebrano przymusowo pocztowców, żeby pokazać, że on działał na niekorzyść rzeszy niemieckiej. Oni to nazywali –i potem utarło się to w społeczeństwie

piaseckim, że oni kradli przesyłki z poczty. Myśmy początkowo nie bardzo połapali się w tym wszystkim, ale zaczęło się wyjaśniać. Po pierwsze, jak wrócił ten Henrys po odsiadce w [19]42 roku na Boże Narodzenie, na Wigilię, to nam dopiero opowiedział o pewnych rzeczach. Mama zrobiła nam takie biedne ciastka, szarlotkę. I ta szarlotka była na takim kloszu, na całe święta. A on nam zjadł. Był taki głodny. I święta były bez ciasta.

On opowiedział nam, jak doszło w ogóle do tego resztowania. Poczta w Piaskach była tak, jak się kończy mur cmentarny mniej więcej, po drugiej stronie po schodkach była poczta. Jednocześnie na górze, bo to był piętrowy budynek, mieszkał naczelnik. Tam było służbowe mieszkanie naczelnika poczty. I, jak on to relacjonował, przyjechała na pocztę kontrola taka jak gdyby cywilna, administracyjna. Oni też znienacka przyjeżdżali, jak to każda kontrola powinna przyjeżdżać, niezapowiedziana. Oczywiście zawsze ze służbowym Niemcem pod bronią. Ci urzędnicy zostali na dole, przed tylnymi drzwiami, natomiast ten szwab poszedł po naczelnika i po klucze, na górę do mieszkania. Wszedł do pierwszego pomieszczenia, potem było drugie i chyba dopiero w trzecim była sypialnia. I czekał. To było jakoś tak rano, że naczelnik chyba jeszcze był w łóżku, czy ubierał się, żeby zejść, a ten szwab zauważył, że Janusz, syn [naczelnika] rzucił pakiet czegoś do pieca, który był rozpalony. I ten szwab był w rękawiczce, podbiegł, capnął to i wyrwał z pieca. Okazało się, że to były listy z donosami i dopiero wtedy, jak oni zobaczyli, że to jest coś takiego, zawiadomili Gestapo. Wtedy już przyjechało Gestapo i zaczęło całkiem inaczej działać. Czyli ta rewizja [w naszym domu] była po tym, ale u ojca nic nie znaleźli. Jeden z młodszych urzędników poczty, który zresztą pracował tam aż do końca okupacji, podobno rozpowiadał o tym, że Niemcy ich zabrali, bo oni zabierali przesyłki. A list jest przesyłką.

Ale był jeszcze taki epizod. Ojciec robił nalewki, ale robił też i soki na zimę. U nas był taki kredens, stał w rogu [pokoju], tak, że cały trójkąt za nim był wolny. I ojciec tam te butelki ustawiał. Jak trzeba było, to sięgało się ręką i wyjmowało tę butelkę. Jak ojca aresztowali to prawie do wiosny korzystaliśmy z tego soku. Ale jedna butelka była taka jakby po szampanie, ciemna, duża. Zostawiałem ją sobie specjalnie z myślą, to jest duża butelka na koniec. I w końcu ona sama została. Jak ją wyjąłem to już mi coś nie pasowało. Patrę, a tu jakby takie kluchy są w tej butelce. Myślę, co za cholera. Otworzyłem ten korek, wziąłem jakiś drut, zaczynam szmulać, szmulać a to jest list z kopertą zwinięty i owinięty sznureczkiem. Otwieram go, a tam: „Donoszę, że tam taki a taki zabił niekontyngentowaną świnie” Potem znów, że ktoś Żydów przetrzymuje. Niektóre z nich były podpisane jakimś nazwiskiem, a niektóre tylko numerem, tak jakby to stały współpracownik był. Ja dwa tylko przeczytałem, a tam była jeszcze cała reszta, której nie czytałem. Więc powiedziałem mamie, o co chodzi. Ale co z tym zrobić? –Zakopmy to, jak ojciec wróci, będziemy to wyjaśniać. I zakopaliśmy tę butelkę. W ogrodzie.

Teraz wracając do naczelnika. Jego powiesili. Stefa wróciła, bo była nieletnia, Henrys

przyszedł po [red. dziewięciu miesiącach], natomiast żonę zamordowali w śledztwie i syna Janusza, który rzucił te listy, zamordowali w zeznaniach. Jego kuzyn Henrys wrócił. To [red. byli młodzi chłopcy]. Oni chyba byli studentami, ich nazywali wtedy Świstek i Gwizdek. To byli studenci i przez młodzież piasecką nie byli przyjęci, byli obcy. Bo to było dwóch takich przystojniaczków, takich inteligencików. Obcy nalot taki. Takich miejscowi nie bardzo przyjmują. Ja nie bardzo wiem, skąd oni byli, ale to nie byli piaseccy. Wiem, że Henrys potem wrócił w poznańskie, bo tam gdzieś była jego matka. Potem chyba był pułkownikiem w wojsku polskim. Był chyba wojskowym. W każdym bądź razie ja się już z nim nie spotkałem. Bardzo możliwe, że go uratowało nazwisko, nie wiem. To tylko moje domysły są. Albo może rzeczywiście nie znaleźli dowodów. Podobno tych listów było o wiele, wiele więcej zlikwidowanych, nie tylko te, co Janusz wrzucił. Jak zrobili mu potem kipisz w mieszkaniu, to znaleźli więcej, tak ten Henrys opowiadał. U nas nie znaleźli nic. Niemcom wolno było za wszystko człowieka zamknąć. W Piaskach [Józefowicz] może nie uchodził za bohatera, bo Niemcy przecież nie mogli powiedzieć, że on zginął, dlatego, że polskie donosy do Niemców wyłapywał, ale, że kradł przesyłki. Bo to były przesyłki. W każdym razie w dalszym ciągu wielu ludzi nie wie o tym. Jak ojciec wrócił, to pierwsza sprawa, o jaką go zapytaliśmy, to gdzie zakopał śliwownicę. Robił świetna śliwownicę. A zakopał ją w piwnicy, bo mówił, że jak się wojna skończy, to ta śliwownica dojrzeje. A druga sprawa to butelka z listami. Ojciec mówi, że ma jeszcze trzy zakopane. Zaczęła się dyskusja, co robić –ujawniać, czy czekać. Czekaliśmy, bo [po wojnie] tak się mówiło, że Anders wróci, że to takie niepewne czasy. Dla nas młodych to było coraz lepiej, bo chcieliśmy się uczyć, coś chcieliśmy wywalczyć. Poszliśmy na studia. Ta Polska była biedna, ale się zmieniała. Czas leciał, a ojciec tego nie ujawniał. Aż zaczęła się zbliżać emerytura. Ojciec należał do związków byłych więźniów Zamku Lubelskiego. To było stowarzyszenie, gdzie byli lekarze, prawnicy. Którzy opiekowali się wszystkimi [współwięźniami]. I zaczęli mu załatwiać [świadczenia]. Warunek był jeden, trzeba było należeć do ZBOWiDu. Ojcu coś się nie podobało w tym ZBOWiDzie, ale to był warunek sine qua non. Jeżeli nie będziesz miał zbowidowskich papierów, nie będziesz miał renty. Ojciec [stwierdził], zapisze się do ZBOWiDu, ale z pustymi rękami nie pójdzie. Wykopał te butelki, pozbił to wszystko. Było tego może setka łącznie. Ujawniono to i wtedy się zrobił szum. Cholerny szum. Zajeżdżam kiedyś z żoną do domu, a nie mogę się do rodziców dostać. Ojciec w towarzystwie redaktorów popija koniaczki, prawie nie trzeźwieje. Bohatera z niego robią, ten książkę chce pisać, ten film będzie robił. *Trybuna Ludu* pisze o bohaterze z Piask. Dostał zaraz krzyż kawalerski. Całe życie nikt go nie odznaczył, a tyrał, jak głupi. Brat uważał, że ojciec jakiś czas po wystawieniu tych listów miał obstawę smutnych panów. To znaczy tak, jakby ojcu coś groziło od kogoś. Ja się obawiam, że tam były jakieś osoby, które w tym czasie mogły mieć jakieś poważne stanowiska. Ojciec był z [1904] roku, pracowało się wtedy [red. sześćdziesiątego piątego roku życia]. Czyli musiał to być rok [19]69.

Ale był jeszcze taki epizod. Ojciec już był na emeryturze, otrzymuje list. Pisze do niego pan Dymek spod Bydgoszczy, który w czasie okupacji pracował w Lublinie. Prawdopodobnie on był tak socjalistycznie [zaangażowany], bo tam były też donosy na działaczy politycznych, ale działaczy socjalistycznych. W każdym razie w tym liście on dziękuje ojcu za uratowanie życia, robi z ojca bohatera. A w jaki sposób o tym się dowiedział? Wiele pism drukowało artykuły o ojcu, ale były też przedruki donosów. I to tłustym drukiem. [Pan Dymek] miał u siebie w sławojce na gwoździu te [gazety]. Z nudów wyrwał taką jedną [kartkę], zaczął czytać notatkę. Patrzy, a to jego nazwisko. I to jest donos na niego. W redakcji tego pisma dowiedział się o listonoszu z Piask. Zaczęli się spotykać, odwiedzać. Mówił, że [o tym], co było w tym donosie poza [nim] wiedziało jeszcze dwóch ludzi. Jednego był pewny, a [wobec] drugiego miał podejrzenia. Osoba, którą nam wskazuje to nasz daleki sąsiad. To nie był piasecczanin tylko wżenił się w bogatą [rodzinę]. W czasie okupacji pracowali razem w Lublinie.

I ja tak sobie zacząłem kojarzyć pewne rzeczy. Widziałem na własne oczy, jak była łapanka w Piaskach, on szedł tak jakby z pracy, bo to były godziny popołudniowe. Niemiec go zatrzymuje, ten wyjmuje jakiś dokument i puszczają go. Oczywiście, że każdego pracownika państwowego puszczali, chyba, że miał jakieś lewe papiery. Druga sprawa, po tych wszystkich łapankach, jakie były w Piaskach, każdy młody chłopak, który przekroczył te tam osiemnaście lat, a czasem mniej, musiał się ukrywać, bo albo szedł do Oświęcimia, albo szedł do Niemiec. Jego szwagier, brat jego żony, w tym czasie chłopak dwudziestoletni całą okupację siedział w domu i Niemcy go nigdzie nie biorą. Dymek mówi, że ma prawie sto procent pewność, że to on. No tak, ale my z bratem mówimy: „Minęło trzydzieści parę lat. Pamięć ludzka też jest dziwna, a jeżeli jest dziesięć procent niepewności i skrzywdzimy człowieka, to, co? Machnijmy ręką na to” Tak żeśmy postanowili. Trudno powiedzieć, czy to on, czy nie, ale byli i tacy ludzie. I jak ich musiało być dużo, tych listów. To aż czasem wstyd się przyznać, że wśród Polaków mamy takich drani. To są takie historie. I dlatego mi tak zależało, [żeby opowiedzieć] o tych Józefowiczach.

11. Obozowe przeżycia ojca

A dlaczego, według mnie ojciec przeżył. Ojciec był niskiego wzrostu, miał metr pięćdziesiąt sześć, ale był wysportowany i silny. I opowiadał mi, że w którymś z obozów, już teraz nie powiem, w którym, byli używani do wyjmowania kamieni z górskich rzek, bo to szło na budulec do Niemiec. I rzeczywiście ci nadzorcy ich bili, jeśli na przykład był chłop duży, a brał się za małe kamienie, bo był nieprzyzwyczajony do dźwigania. No to ten go lał, że on taki duży, a takie małe kamienie nosi. Ojciec był na tyle sprytny, że nosił średnie kamienie. Był mały, a średnie kamienie nosił. To nawet ten Niemiec go pokazywał: „Patrz, ten taki mały, a jaki duży kamień niesie”

Druga sprawa, jadł węgiel, jak gdzieś były grudki węgla, to zbierał i jadł ten węgiel.

Wiosną jadł pączki z lipy, jak gdzieś przy ogrodzeniu obozu były lipy, to te pączki zielone jadł. Były bardzo smaczne. I miały witaminy. Czyli pomimo tego, że ojciec miał siedem klas szkoły podstawowej i potem tylko przeszkolenia pocztowe, ale był odczytany i, z drugiej strony, bardzo ostrożny. Musiał mieć taką wrodzoną jak gdyby [dbałość] o własne zdrowie i własne ciało. Pomimo tego, że miał niski wzrost, bo chorował w młodości na taką dziwną chorobę, że miał zahamowanie we wzroście. Ale to mu trochę i pomogło, bo na takiego małego mniej zwracają uwagę, nie rzuca się w oczy. A przecież tam kupę ludzi jednak zginęło. I jeszcze to, że nie potraktowali go, jako politycznego. Listów u niego nie znaleźli, do tej organizacji nie doszli. Korespondencja od ojca nie przychodziła tak bardzo często, tylko od czasu do czasu.

Natomiast widzieliśmy się dwa razy z ojcem jak był na Zamku. W tym czasie ulica Skłodowskiej w Lublinie była prawie cała niemiecka, sporo [było] tam domków jednorodzinnych, takich kamieniczek pobudowanych za okupacji. Część kamienic na Skłodowskiej jak ja pamiętam to oni to budowali dopiero za Niemców. Nie pamiętam już, czy mama komuś dawała pieniądze, żeby [ojca] wzięli na roboty, bo nie wszystkich brali. Wyjście na roboty z Zamku, to była rozkosz. Człowiek świeżym powietrzem pooddychał i ludzi zobaczył. I dwa razy dostaliśmy gryps, że [ojciec] będzie na Skłodowskiej. I rzeczywiście. Tam też widział się ze swoją córką, bo jak mama urodziła, tośmy pojechali z tym maleństwem i ojciec ją widział będąc na Zamku. I ojciec na takiej budowie pracował, to były mieszkania dla Niemców. Wiem, że cała Skłodowska była obstawiona, tam nawet Polakom nie bardzo można się było kręcić. Ale był tam jeden nadzorca niemiecki i przekupiliśmy go. Bo to chyba byli takie ciury, to nie było gestapo, które było takie potworne. Nie pamiętam, czy papierosy dostał, czy co, ale w każdym bądź razie przekupni byli i nam pozwolili. To mama załatwiała z nimi, ja już nie pamiętam, jak to było. W każdym bądź razie dwa razy byliśmy tam dziesięć, piętnaście minut. Weszliśmy do takiego niedokończonego mieszkania i tam porozmawialiśmy chwilę.

12. Związki z Lublinem

[Rodzina ojca] mieszkała tu zaraz na początku Lublina, tam, gdzie cementownia. To znaczy to się przed wojną nazywała cementownia, a potem to była fabryka eternitu. Oni tam w dole, przy linii kolejowej mieli tę swoją chałupkę. Potem mieli domek i na Łęczyńskiej, tam w stronę rzeźni, a jedna z ciotek przed wojną nawet w rzeźni pracowała. Jak się rozbudowywała cementownia, to zabrali ten teren przy fabryce i jednej z ciotek wybudowali domek przy drugiej siostrze ojca na Tatarach, natomiast ojcu działkę dali w Lublinie. Potem okazało się, że znalazł się właściciel tej działki i tak dranie zwodzili, aż w końcu sprawa się przedawniła. I tak nam przeszła działka w Lublinie koło nosa. Tylko wtedy nie dbał nikt o to. W Poznaniu mama miała stryja, który miał wytwórnię lemoniady. I to w centralnym miejscu. Stryj bardzo lubił mamę, bo oni chyba dzieci nie mieli. Miał w centrum kamienicę i zapisał jej jedno

mieszkanie. Ale teraz już tej kamienicy nie ma. Rozwalili ją. Tak, że do majątków żeśmy nie mieli szczęścia specjalnie

13. Ratowanie jeńców

Jak Niemcy przysli po raz drugi, to potem ze wschodu prowadzili potężną ilość naszych ludzi. To byli w osiemdziesięciu procentach żołnierze, nie oficerowie tylko zwykli żołnierze. Część z nich było na wpół umundurowanych, niektórzy umundurowani, a niektórzy byli już w cywilnych ubraniach. To były tłumy. Nie pamiętam okresu, w każdym bądź razie to trwało dość długo, jak co raz prowadzili jakiś tam oddział. Tych ludzi może było w takim oddziale setka, może dwustu, a prowadziło ich tylko dwóch albo trzech Niemców. Oni nie mieli, gdzie uciekać, no, bo gdzie? Co jakiś czas szedł Niemiec w hełmie, z karabinem przy tym oddziale i prowadził ich. I jak szli ci wojacy, to nasze mamy –moja i mama kolegi, stały na ganku, miały ubrania przygotowane i od czasu do czasu wysyłały nas. A myśmy wpadali w ten tłum, wybierali sobie tak na oko, [wołaliśmy]: „Tata! Tata, tata!” I wyciągaliśmy go. Tak nam mamy kazały. A one go przebierały.

Nie wszyscy szli, niektórzy stawiali opór, bo tak byli oszołomieni, że nie bardzo wiedzieli, gdzie im będzie lepiej. Myśmy się trochę bali, ale ci Niemcy nie bardzo reagowali. Dotąd nie wiem, czy ja ich ratowałem, czy może ich skazałem. Bo może gdyby poszli do obozu jakiegoś żołnierskiego, to by przetrwali. A może ja go wyciągnąłem, a potem go gdzieś tam Niemcy i uśmiercili? Czyli człowiek naprawdę wtedy nie wiedział, co robi dobrze, a co źle. W każdym bądź razie myśmy ich ratowali i ja kilku tych „tatów” wyciągnąłem z szeregu, tak, jak mama mi kazała. To był rok [19]39 jeszcze. Rok [19]39, jesień.

14. Bombardowanie Piask i ucieczka na wieś

Musieliśmy uciekać. Piaski się paliły, zbombardowane. Czterdziesty czwarty rok, lipiec, piękna pogoda. Niemcy wycofują się w potężnych siłach. Jezdnią jedzie ciężkie uzbrojenie, ciężkie armaty, wozy pancerne. Bokami idą piechurzy, a jeszcze dalej, bo nie było chodników, tylko takie obrzeża, jedzie kupa furmanek. Myśmy uważali, że te furmanki z cywilami, to są Niemcy nasiedleni gdzieś tam, którzy wracają z armią niemiecką z tych terenów wschodnich. Okazało się, że byli tam i tacy, ale gros ludzi –spotkałem kolegę, który właśnie tak wracał, uciekało przed ukraińską rzezią pod ochroną Niemców. Bo trzeba powiedzieć tak –Niemcy zezwalali na to, tylko nie tam, gdzie oni byli. Oni przecież wiedzieli, że na wsi dwadzieścia kilometrów [dalej] wyrzynają. Ale w miastach, gdzie byli Niemcy nie było wolno. Ten mój kolega spod kupy trupów uciekł i dlatego się uratował. Ciotka go wyciągnęła ze stodoły, trupy były na nim, stodoła się paliła już, a oni uciekli na drugą stronę do ogrodu, do wieczora przeleżeli w tym ogrodzie. Tak się uratował. I potem opowiadał, że ci ludzie, [których] myśmy uważali, że to jacyś niemieccy sługusi, w jakichś osiemdziesięciu procentach to byli ludzie, którzy uciekali przed rzezią ukraińską.

Trwało to kilka dni, W pewnym momencie leci z daleka tak dużo samolotów, a taki warkot, widać, że ich leci bardzo dużo. Byłem u kolegi po drugiej stronie [red. ulicy], myślę, że na wszelki wypadek powinienem być w domu. I jakoś tam się przedzieram przez tę ulicę, widzę rzeczywiście potężne eskadry samolotów, ale jakby nie niemieckie. Niemieckie już poznawałem. I tak kątem oka jak patrzę, że tak jakby ulotki puszczały. Tak się zaczęło błyskać i opadać. Zanim doszedłem do domu huk był taki, że mi prawie uszy pękały. A to oni zrzucali takie nieduże bombki na te kolumny niemieckie. Był taki plac, tam gdzie stare getto, tam była potężna ilość niemieckiego sprzętu i wtedy oni to zbombardowali. Jak to się zaczęło palić, to jedna trzecia Piask się spaliła. Po tych rosyjskich bombach dużo naszych ludzi, Polaków zginęło wtedy. Już był tu front, już wiedzieliśmy, że się armia zbliża, a tu jest tyle niemieckiego wojska, wszystko się pali, rwie, strzela, bomby bez przerwy. Więc postanowiliśmy, że uciekniemy –mama, ja, brat i mała siostra –do znajomych na wieś, dziesięć kilometrów od Piask w stronę Gardzienic na Majdan Policki.

Babcia miała krowę, ta krowa mleka prawie nie dawała, ale babcia mówi: „Wikciu, weź przynajmniej krowę, to będziesz miała mleko i co dzieciom dać, bo to nie wiadomo, gdzie ty idziesz” Idziemy z tą krową, upał jak cholera, dziesięć kilometrów z tym małym dzieckiem, nikt nie miał siły jej nieść, ona tak dreptała biedna, myśmy ją za rączkę prowadzili i coraz to postali, bo przecież to małe dziecko było. A tu ta krowa jeszcze. Samoloty lecą tak niziutko, to my w zboże się kładziemy. Okazało się, że rosyjskie, przeleciały. Wstajemy, krowa nie chce iść, uszliśmy trochę, jakąś wioskę mijamy, baba mówi: „Pani, tę krowę trzeba wydoić, bo będzie miała zapalenie wymienia” Nikt z nas doić nie umie, mama nigdy nie doiła krowy.

W końcu doszliśmy na ten Majdan Policki, do tych gospodarzy i ci już wiedzieli, co z tą krową robić. Mówiło się o rzezi Ukraińców na Ukrainie, ale z drugiej strony były te oddziały ukraińskie w armii niemieckiej, nazywali to armia Własowa. Toż to dranie byli, przecież to oni w akcjach tych żydowskich brali udział. I ciągle ktoś straszył, że Ukraińcy rzną, choć u nas tych rzezi nie było. Na Lubelszczyźnie wschodniej, to owszem, ale tutaj nie było. I kiedyś po wiosce poszła taka fala, ja patrzę –wszyscy się pakują i wyjeżdżają. Gdzieś tam podobno jakiś wąż jest za tą wioską i oni się tam skryją, przeczekają to wszystko. A tu nie ma, bo poszła krowę paść na skraju lasu. Myśmy też ją paśli, ale wtedy poszła mama, bo było niespokojnie. Wszyscy z wioski uciekają, panika. Wychodzę na drogę, jedzie para koni, konie w pianie. Baba powozi, a chłop się modli głośno, jakieś tam litanie odśpiewa. Tak uciekali w strachu, że to Ukraińcy rzną. Po pewnym czasie wioska pustoszeje, zostaje tylko nas trójka dzieci. Ja do sadu, postawiłem tego mojego brata z małą siostrzyczką i mówię: „Tu masz siedzieć teraz i się nie ruszać, ja idę po mamę” Poszedłem do lasu, wchodzę w las, na skraju patrzę, krowa. Krzyczę za mamą. Łapie tę krowę, ciągnę do tej wiśni, przywiązuje i zostawiam znów ich. Wioska pusta. Okazało się potem, że jeden Ukraińiec się gdzieś tam zapętał i taka panika wynikła nie wiadomo, z czego.

Wszyscy wracają już, popijają, ale naszej mamy nie ma. Wszyscy się cieszą, bo się

skończył dla nich jakiś tam epizod wojenny. Mija godzina, mijają dwie, chodzimy, krzyczymy po tym lesie, nic. Nie ma mamy. Wieczór się prawie zbliża, ja chodzę wzdłuż tego lasu po drodze –wychodzi mama. Włosy stargane, prawie nieprzytomna, ledwo żywa, słowa nie może wypowiedzieć. Zaprowadzamy mamę do tych gospodarzy, daliśmy jej pić, w końcu pytamy, co się stało. A mama mówi, że jak usłyszała szum w wiosce, chciała szybko wrócić, ale z tego wszystkiego prawdopodobnie jej się pomyliło. Krowa ciągnęła w jedną stronę, ona chciała w drugą. Jak zobaczyła, że ta krowa idzie w drugą stronę to ją zostawiła i pogoniła z myślą, że leci do dzieci, a poleciała w las. W panice to tak się dzieje z człowiekiem. I tak głęboko w ten las poszła, była jak obłąkana. W końcu wyszła na leśną drogę, a właściwie na taką miedzę leśną, jak to jest na przecince, a tam Niemiec. I zemdłała. Jak ją potem docucili, to tym Niemcem okazał się partyzant, tylko, że w niemieckim hełmie, w niemieckiej panterce. Oczywiście miał biało-czerwoną opaskę na hełmie, tylko, kto w tym strachu to widział. To był oddział, który stał w lesie. Nie wchodzili do wioski, tylko podeszli, żeby się przypatrzeć, co się dzieje. Potem rzeczywiście mamę podprowadzili prawie aż pod samą wioskę, jak ją docucili i jak mama w końcu wyjąkała, co to za wioska. Byliśmy tam może dziesięć dni, a może więcej. Bo Lublin był zajęty około dwudziestego czwartego lipca i Piaski w podobnym terminie.

15. Po wyzwoleniu był ogólny bałagan

Przeżywaliśmy tam w międzyczasie takie różne potyczki. Przychodzili jacyś pseudo partyzanci. Nasz gospodarz był w partyzantce, chyba w BCH, ale jak tamci przychodzili, to on się ich bał. Moja ciotka, przyrodnia siostra mamy wtedy była młoda, miała nóż kuchenny za plecami w razie, czego, bo podobno gwałcili, młode dziewczyny i nie wiadomo było, kto nas w nocy odwiedzał. Był taki ogólny bałagan. Partyzantka była zorganizowana, to wiadomo, ale wiem, że sam gospodarz bał się takich najść, bo mówił, że czasem to byli zwykli bandyci. I jeszcze jeden epizod. Okazało się, że babcia uchowała świniaka. Wszystko, co w zwierzakach było do jedzenia, to było kolczykowane i zapisane. Ale Polacy byli na tyle sprytni, że na przykład świnia była z kolczykiem, ale nie rosła. Była zawsze mała i nie nadawała się dla Niemców na kontyngent. Nauczyli się robić to wycięcie w uchu i jak świnia urosła, to się ją zabijało, a ten kolczyk jakimś sposobem się przewijało na małą świnię. I sztuki się zgadzały.

Więc babcia też uhodowała jedną świnię, która była do zabicia. Babcia z dziadkiem zostali w Piaskach, była tam piwnica ziemna i jak były naloty, to oni w tej piwnicy siedzieli [red. Mam chciała tę świnię zabić i przywieźć na wieś]. Ale jak to zrobić, kiedy tu wojna. W końcu uradzili ze stryjem, że pojedą, ubiją świnię i przywiezją ją. Oczywiście był strach, czy wrócą, bo te działania przecież były, ale w końcu przyjechali. Myśmy bardzo lubili kaszanekę. Była taka dobra. Więc mama w misce to wymiesiła i już mieliśmy to nadziewać, ale w pewnym momencie, jak zaczęły gwizdać pociski! I to chyba nawet katusze. Spadły wprawdzie gdzieś za wioskę, ale w każdym

razie front się zbliżał. I znów ucieczka. Gospodarz był taki przemyślny, że wszystkie wartościowe rzeczy i znieśliśmy do piwnicy pod jego domem. Przy okazji i tego świniaka też i tę kaszankę niezrobioną jeszcze w misce. I do tej piwnicy był w tej sieni taki właz. On ten właz jakoś tak podważył, a potem tu jeszcze narzucił ziemi na równo i z worka wysypał otręby, że one się tak rozsypały, że zakrył ten właz i jeszcze pozasałniał ziemią okienka takie wentylacyjne, że nikt nie wiedział, że tam jest piwnica.

Okazało się, że front jest jeszcze daleko. Te pociski spadły, bo prawdopodobnie jakaś artyleria się wstrzeliwała, oni wtedy tak macają, czy tam gdzieś strzelą, czy się ktoś odezwie. To takie artyleryjskie triki. To był lipiec, ciepło. Na następny dzień, jak pootwierali to wszystko, to z naszego świniaka były tylko robaki. Wszystko poszło w dół. I tak żeśmy się najedli i kaszanki, i świniaka. Wszystko się zmarnowało. Bo to w tych warunkach przecież od muchy się nie obroni. Prawdopodobnie to mięso poszło z muchami do piwnicy! Płakała mama, oj. Tak to było, to były takie dni.

16. Wyzwolenie

W pewnym momencie najpierw na takim koniku jedzie z szablą Ruski. Pierwszy Ruski. A za nim już dużo Ruskich. Mam wyrzuty sumienia trochę, bo zrobiłem brzydką rzecz. Ja z tymi Ruskimi całą prawie noc z nimi przesiedziałem, bo nie spałem w domu tylko w stodole na takim stryszku na sianie, tam mi było wygodniej, a oni palili ognisko, gadali. I rano, jak odjeżdżali to jeden z nich zawiesił na płocie taką torbę wojskową, a sam się mył. Ja wziąłem tę torbę i mu przewiesiłem. Nie ukradłem, tylko przewiesiłem tak za rogiem. A on nie zobaczył i pojechał. Jak on ją zostawił, to ja już musiałem wziąć. Niewiele się obłowilem, było tam trochę takich kolorowych ołówków sztabowych, mapa byle jaka, ale miałem wyrzuty sumienia, choć jej nie ukradłem, tylko przewiesiłem. Jakoś się rozgrzeszyłem. W pewnym momencie doszły [informacje], że Piaski są już wolne, trzeba wracać do domu. Szliśmy tak na południowy-[red. wschód].

Przychodzimy do domu tak jakby od tyłu i ja widzę przy naszym domu, przy furtce żołnierza polskiego. To był kapral w rogatywce z orzełkiem, co prawda z tą wroną jak myśmy to nazywali, ale żołnierz z polskim orłem. Ojca nie było, więc każdy mężczyzna był dla mnie bohaterem, tym bardziej żołnierz. Potem polskie oddziały przyszły, dziewczyny z kwiatami ich witały, cieszyliśmy się. A kto w tej chwili wspomni coś o armii polskiej, która wróciła ze wschodu? O ich bohaterstwie? O ich przelanej krwi. Przecież oni nas tutaj uwolnili. Że szli z rosyjską armią? Bo innej nie było. Ale to byli ludzie, którzy byli wywiezieni w czasie działań wojennych, albo jeszcze w trzydziestym siódmym roku [red. wywiezieni] spod granic, bo tak się zabezpieczali, że wysyłali naszych gdzieś do Kazachstanu, czy na daleką Syberię. Ludzie biedni, najcześniejsi. Jak się ukazał ten rozkaz to to wszystko szło, żeby o tę Polskę walczyć, a jednocześnie się z tej kaźni wyrwać. Nie wszędzie dochodziły te rozkazy władz radzieckich, nie wszędzie chcieli, żeby one się w ogóle ukazały. Anders wyprowadził

ich ze Związku Radzieckiego. Ale ta biedota, co miała najgorzej, najdalej, co do nich najpóźniej rozkazy doszły, co ich jeszcze dłużej katowali, to dopiero Berling, jaki by on nie był, ale zaczął tworzyć z nich nową armię. To ten zwykły żołnierz przecież to jest ten sam, a może nawet i gorzej uciemiężony, niż tamten, co poszedł z Andersem, no, bo kto to jest? On szedł Polskę wyzwalać. I tamci się teraz liczą, a o tych zapomnieli, a przecież ci na polskiej ziemi ginęli, na polskiej ziemi. Oddajmy im cześć.

Data i miejsce nagrania	2018-04-18, Zamość
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"